

**Lucius Shepard**

**Kapitulacja**

*Przełożył Andrzej Ziembicki*

Już nie raz unosił mnie nurt podobnych rzek; podczas kilkunastu rozmaitych wojen wdychałem ów tropikalny odór będący mieszaniną upału, gorączki i kału; napotykałem takie same spływające z zieloną falą rozdęte trupy; sto razy widziałem poćwiartowane zwłoki drobnych, smagłych mężczyzn i delikatnych kobiet. Jestem pierdzielonym turystą wojennym. Mam na walizkach nalepki z Kambodży, Nikaragui, Wietnamu, Laosu, Salwadoru i innych, należących do tej samej ligi miejsc bez powrotu. Dość tych bzdur, powtarzam sobie, twoja kolej, żeby się zająć frontem wewnętrznym, gdzie wszyscy chrzanią wszystko. Możesz wypisywać pogodne pierdoły o pozbawionych aktorskiego talentu dziewczuszkach ze zgrabnymi cyckami, pogłębione teksty o transcendencji i nowej fali konserwatywnych republikanów, którzy nie tracąc nigdy zwycięskiego uśmiechu rąbią opinię publiczną od zakrystii. A jednak zawsze ląduję w takim miejscu, gdziekolwiek w danym roku Takie Miejsce wypada i siedząc nad basenem w Holiday Inn opijam się „Absolutem” i przerzucam błyskotliwymi pogaduchami z innymi półgłówkami z mojej branży; chłopakami z UPI czy AP, kosami z Reutera, a niekiedy z wpadającym raz na jakiś czas superasem – twoim Wpisz-Nazwisko-Swego – Ulubione-go-Nadymanego-Telewizyjnego-Obszcymura – rodzajem facia, który postawi kilka kolejek, beknie parę banałów i będzie nawijać idiotyzmy w rodzaju: „No, Katanga to dopiero była p r a w d z i w a wojna”, zanim podcięty powędruje na górę, żeby przedyktować trzy zroszone łzami kolumny humanitarne zaangażowania. Wierzyłem kiedyś, że robię to wszystko z przekonania, nie zaś zbłąkany bądź też powodowany perwersją; teraz już nie jestem tego pewien.

Kilka lat temu byłem w mieście Gwatemala: to taki bardziej słoneczny Mordor z architekturą w stylu kolonialnym, popierdującymi czarnym dymem autobusami na ropę i prawdziwie spektakularną dzielnicą slumsów, nazwaną w stylu lat dziewięćdziesiątych Strefą Pięć. Wałęsałem się w ramach przygotować do wypichcenia kolejnego tragicznego kawałka o zaginionych i unikałem band złowieszczo wyglądających hombres w toyotach bez numerów rejestracyjnych. Próbowałem sobie wmówić, że mój artykuł Wywrze Jakiś Wpływ, gdy napatoczył się pewien mój kumpel, Paul DeVries z Associated Press, poważny nieduży gość, w którym kochają się wszystkie gwatemalskie dziewczyny, bo jest jasnowłosy, wrażliwy i pod każdym względem stanowi zaprzeczenie męskich sił miejscowych, w których wcześniej rozwija się skłonność do piwnych bandziochów, broni krótkiej, tudzież częstowania lewym sierpowym przedstawicielek słabszej płci...

Więc DeVries powiada:

- Hej, Carl, zaciągnijmy dupska do Sayaxche, słyszałem, że była tam jakaś nawałanka.
- Sayaxche? – pytam. – Co się mogło zdarzyć w Sayaxche?

Sayaxche to dla mnie i dla DeVriesa anegdotyczna historia, zresztą jedna z wielu. Razem obsługiwaliśmy te podwórzowe wojenki od czterech lat i wypracowaliśmy wspólny język,

zbudowany na robieniu sobie jajek ze wszystkiego, co się na przytrafia. Nazywamy Sayaxche „Jednokurewskim miastem”, takiej bowiem liczbie królowych nocy daje utrzymanie. Monopolistka z Sayaxche nie jest towarem dla wybrednych: ma ospowatą twarz, kluchowate cielsko, plugawą jadaczkę i bez przerwy wrzeszczy po pijacku. Samo miasto to położona na skraju dżungli Peten dziura z hotelem, regionalnym oddziałem banku, bielonymi budami, eksperymentalnym gospodarstwem rolnym, promem przewożącym przez Rio de la Pasion cysterny zaopatrujące w paliwo ферmy położone w głębi dżungli, masą zgniłej zieleni, tudzież głodujących Indian, krótko mówiąc, Joseph Conradlandia. I co się tam może zdarzyć?

– Daj sobie spokój – mówię z początku DeVriesowi.

Tylko że, kapujecie, zaczynam mieć po uszy zaginionych, to znaczy, jaki coś takiego ma sens? – gdyby zniknęli za sprawą magii, wszyscy by tego chętnie posłuchali, ale następna tragedia, dalsze międlenie żalonych, a ciągnących się w nieskończoność plot z Trzeciego Świata... pieprzenie kotka, więc kończy się na tym, że wskakujemy z DeVriesem na DC-3 do Flores, potem godzinna jazda autobusem po pełnej wykrotów drodze gruntowej i oto jesteśmy na miejscu: pijemy piwo i kurzymy na oszklonej werandzie turkusowego pudełka nad rzeką zwanego hotelem Tropical, który ma trzydolarowe pokoje, karaluchy gigantycznych rozmiarów i gdziekolwiek spojrzeć, oprawne w ramki fotografie Don Julia, właściciela przybytku, obwieszzonego złotymi łańcuchami gościa o plamistej cerze, dumnie upozowanego ze strzelbą i różnaitością ubitej zwierzyny. Słuchając wyjćców i po hukująco-po gwizdujących ptaków z dżungli dookoła, gapimy się na mrocznozielone wiry Rzeki Namiętności i usiłujemy wycisnąć jakieś informacje z Don Julia, który jednak nie słyszał o żadnej nawalance. Prawdziwy hart z tego Don Julia. Nienawidzi komuchów. To jedna z owych patriotycznych duszyczek, co to w pijanym widzie wymachuje po tęzną pistołą i deklamuje:

– Nikt mi tego nie odbierze! Komunista, który wlezie na moją ziemię, jest trupem!

Zatem niewątpliwie łże nam w oczy, aby osłonić swoich kumpli z tajnej policji. Wzrusza ramionami, proponuje następne piwo i rusza polerować kulki, pozostawiając mnie, DeVriesa i kanadyjską pielęgniarkę o imieniu Sherril, która jedzie na południe, gdzie zamierza pracować dla sandinistów, przy głównej rozrywce wizualnej miasteczka, to jest przy obserwowaniu cystern staczających się z promu tylko po to, aby ugrzęznąć w gigantycznym wykrocie, artystycznie zlokalizowanym tam, gdzie kończy się nabrzeże, a zaczyna stromy podjazd, więc mało która ciężarówka potrafi uniknąć wpadki. Przed położonym po drugiej stronie ulicy bankiem, jednopiętrowym budynkiem z różowego żelbetu, kilku uzbrojonych w SMG indiańskich żołnierzy w panterkach podpowiada kierowcy aktualnej ciężarówki w opalach sposoby na wykaraskanie się z dziury. Optują za kombinacją desek i piasku pod kołami z rozhuśtaniem wozu w przód i w tył. Kierowca, w kłopotach już od godziny z okładem, jest bliski płaczu.

– Ano, bombowo jak sto skurwysynów – powiadam do DeVriesa; jest o dziesięć lat młodszy

ode mnie, a charakter naszych stosunków został solidnie ugruntowany, więc mam prawo wyrazić surową ojcowską dezaprobatę. – Napotkaliśmy tu złotą żyłę materiału dziennikarskiego.

– Może coś się wykroi – mówi DeVries. – Posiedzimy jeszcze trochę i przekonajmy się co.

– A czego właściwie, chłopaki, szukacie? – pyta Sherril. Jest smukła, wysoka, przystojna, ma jasnorude włosy, nie nosi stanika i czeka na faceta, który obiecał przewieźć ją łódką pod meksykańską granicę i pokazać ruiny Majów w Yaxchitlan. Ale jeszcze się nie pojawił, skoro zaś miał to uczynić dwa dni temu, zapewne nie pojawi się wcale. Sherril robi się na zaangażowaną-niezaangażowaną i kobieco – niezależną, kapujecie: „Chcę się sprawdzić wobec rebeliantów, aby móc żyć ze sobą, a potem w Calgary czy gdzie tam wychowywać moje dzieci tak, by kochały zwierzęta i nie używały brzydkich słów”. A ja, cóż, zaczynam dochodzić do wniosku, że jeśli jest na tyle durna, żeby pożegłować w górę Rzeki Zagłady z jakimś obrzypalcem poznanym w jednym z barów Antiqua, to znajdzie w sobie dość idealizmu, aby się przespać z takim przestrelonym żurnalistą jak ja. Widzę, że mój repertuar cynicznych odzywek wywarł na niej wrażenie, no i zdecydowanie występuje ten wzajemny magnetyzm.

– Obiło się nam o uszy, że były tu jakieś problemy – mówię. – Wszędzie masa żołnierzy.

– Ach, na pewno macie na myśli farmę – powiada.

Wymieniamy z DeVriesem spojrzenia i pytamy jak jeden:

– Co się stało?

– Nie wiem – mówi Sherril – ale wczoraj było tam wielu żołnierzy. Chyba jeszcze są. Bo musieliby się tu pojawić, gdyby wracali.

Farma, podobnie jak Sayaxche, to sprawa do pewnego stopnia anegdotyczna, choć ten jednokurewski numer jest dużo śmieszniejszy. Kilka lat temu w cwanej hochsztaplerskiej zagrywce Banco Americano Desarrollo – pierwszy w regionie bank rozwoju, a przez to najlepszy zawodnik w kanciarskiej ekonomicznej wolnoamerykance, która w całej Ameryce Środkowej utrzymuje status quo pomiędzy szwadronami śmierci a nieludzką nędzą i w ten sposób chroni USA przed komunizmem – wynegocjował kontrakt z ówczesnym szefem gwatemalskiego łapownictwa, prezydentem o nazwisku Ydigoras Fuentes. Kontrakt ów odstępował wieczyste prawa do eksploatacji złóż naftowych w Peten w zamian za coś, co litera umowy określała mianem dynamicznej polityki Stanów Zjednoczonych, zorientowanej na reformę rolną i rozwój agrarny; polityki, która – za welonem cudownie mglistych przyrzeczeń – obiecywała w rzeczywistości założenie jednej farmy eksperymentalnej, właśnie w Sayaxche. Ten zatrudniający trzydziestu Gwatemalczyków obiekt uchodzi za okazowy model higieny i funkcjonalności; reforma rolna i rozwój agrarny są nadal, o czym nie trzeba wspominać, skryte za horyzontem.

No więc jesteśmy z DeVriesem napaleni, żeby pogalopować na farmę i zobaczyć, co jest grane, ale Sherril powiada, że nie mamy szans... przynajmniej za dnia. Na szosie ustawiono

blokadę. Ona jednak zna drogę i jeśli zaczekamy do nocy, to nas zaprowadzi. Otóż sprawy mają się tak, że czekając na swego opieszałego przewodnika spiknęła się z prawicowym wredem z Ciudad Guatemala, który miał ranczo w dole rzeki – i okazała się na tyle głupia, że poszła z nim na spacer po dżungli. Rozprawiał tylko o dyskotekach, cadillacach i rzeszy swoich panienek, więc wzięła go za idiotę, nie zdając sobie sprawy, że tacy idioci bywają niebezpieczni. Kiedy się do niej zaczął dobierać, musiała uciekać, żeby go zgubić w dżungli, i w ten sposób odkryła cuduś sekretny szlak do Zacney Experymentalney Farmy, która sprawiała wrażenie środka strzeżonej.

Wchodzi tu w grę, uświadomiliśmy sobie, etyka dziennikarska. Czy dwóch oblatanych w świecie facetów powinno pozwolić, by ta naiwna Kanadyjeczka wiodła ich wprost we wrota piekieł, ryzykując całość swej osoby i w ogóle? Chyba nie. Ale to jest właśnie showbiznes, zgoda? Więc udając, że gówno jest fiołkiem, mówimy OK, kochanie, ależ zafundujemy sobie przygodę! Pijemy piwo i obserwujemy cysterny podrygujące i buksujące w Wyrwie Śmierci. No i czekamy nadejścia nocy. O pierwszym zmierzchu udaję się z Sherril na przechadzkę, opowiadam jej smutne historie o żołnierskim umieraniu i zostaję nagrodzony za swą bohaterską przeszłość kilkoma głębokimi, wilgotnymi pocałunkami, tudzież stuprocentowym dowodem bezstanikowości Sherril.

– Boże! – mówi spłoniona i posikująca z uciechy. – Boże, nigdy by mi do głowy nie przyszło, że w tym okropnym miejscu spotkam kogoś takiego jak ty!

Otwierają się tu, pojmuję z miejsca, olbrzymie możliwości. Kto mówił, że Kanadyjki nie umieją całować?

I w tym momencie kończą się żarty. Nie, żeby dotychczas było ich za dużo, ale to showbiz, no więc chciałem, żebyście dotrzymali do tego momentu. Nie wiem, co mam wam właściwie powiedzieć. Prawdopodobnie wychodzę w tym wszystkim na faceta przystrojonego w pozę moralnej wyższości, ale to tylko mechanizm samoobrony. Kapujecie, tak się przywykłem roznamiętniać, żeby zmusić was do popatrzenia na mnie spod ściągniętych brwi, jakbyście mieli powiedzieć: „Interesujący Okaz” albo „Boże, on naprawdę stoi przy swoim” albo (ziewnięcie) „Nudziarz; więc dobra, Zachód chyli się ku upadkowi, no ico z tego, może wiesz, gdzie moglibyśmy załapać się na trochę Frajdy”, albo „Jezu, to naprawdę straszne i w ogóle, ale wcale nie chcę tego słuchać, tyram całe życie, gdy to farciarskie Słońce tacza się po niebie cały dzień, więc kiedy wieczorem wracam do domu, chcę zrzucić buty, strzelić zimne piwo i zaznać rozrywki”. Więc co mam powiedzieć? Nie mogę z wami dyskutować. Albo gówno was wszystko obchodzi, albo nie – i nic, co mógłbym powiedzieć, nie zmieni waszych poglądów. Skoro jednak pożądacie rozrywki, proponuję spacer, dajmy na to, w okolicy Tololi, w Salwadorze, gdzie będziecie mogli zobaczyć intrygujące rezultaty polityki zagranicznej, w myśl której helikoptery Apache zrzucają na wioski dwadzieścia ton bomb miesięcznie, powielając tym sposobem

taktykę, jaką stosowaliśmy w Wietnamie, aby unicestwić ludowe poparcie dla Wietkongu (och, tak!) – w tym przypadku dla FMLN – i mimochodem czyniąc uciekinierów z jednej piątej całego narodu. Byłby to spacer w najwyższym stopniu ucieszny. Oto usłane szkieletami, opustoszałe miasta! Oto, proszę państwa, kolekcja lewych dłoni, gnijących w koszu przed zbombardowanym kościołem! Oto wioska beznogich! Jeśli podobały się wam Pola śmierci, zachwycicie się Tololą!

Poważnie, kochani, to wam utkwi w pamięci.

Już sam smród stanowi prawdziwe przeżycie.

Ale oddaję się dygresjom. Może to fakt, że w Stanach Zjednoczonych łatwo o poczucie moralnej wyższości nawet takim pojebańcom, jak ja. W takim przypadku sędzę, że powinienem szybko skończyć tę opowieść, abyście mogli wrócić do waszego kanału z wideoklipami.

Ruszyliśmy zatem przez oślizgłe nocne powietrze, podążając dżunglą za doskonale kształtnym, przyodzianym w dżins zadcem Sherril. Dopiero po dwóch godzinach harowy, urozmaiconej przez ostrożne podbieżki i krwio pijące moskity, dotarliśmy do farmy, a dostrzegłszy światła przebijające przez listowie podkradliśmy się do skraju dżungli i rozplaszczeni na brzuchach wyjrzelśmy spomiędzy gęstych paproci. Kilkanaście transporterów z zamontowanymi na tyle M-sześćdziesiątkami otaczało kręgiem budynek z białego stiuku: biuro farmy. Światła okazały się reflektorami, nakierowanymi na pole czegoś, co sprawiało wrażenie agawy... choć Bóg jeden wie, po co ktoś miałby uprawiać agawę. Widać było pięćdziesięciu albo sześćdziesięciu żołnierzy, z których żaden nie miał zbyt zadowolonej miny; rozrzucony w wachlarz przed budynkiem, stali w pełnej gotowości, mierząc z karabinów w pole. To wszystko wydawało się diablo dziwne.

Nie wiem, co byśmy zrobili. Prawdopodobnie nic. Bo w żadnym razie nie zamierzałem podchodzić bliżej. Wróciłibyśmy pewnie do miasta i sprokurowali jakieś poszlakowe doniesienie. Nie dano nam jednak wolnego wyboru. Po kilku minutach usłyszałem za plecami charakterystyczny odgłos odbezpieczanej broni automatycznej, a potem wygłoszoną po hiszpańsku instrukcję, byśmy rozłożywszy ramiona legli twarzami do ziemi. Kilka chwil później, postawieni szarpnięciem na nogi, oślepieni światłem latarek, zostaliśmy – mimo okrzyków *Americanos! Americanos!* – brutalnie popędzeni przez grupkę żołnierzy ku budynkowi biura. Pod jego drzwiami rozpościerał się jeden z typowych środkowoamerykańskich widoczków: spoczywający w pyłe rząd podziurawionych kulami nagich ciał. Popędzani przez żołnierzy, nie zdołaliśmy się im dobrze przyjrzeć. Sherril próbowała oponować, ale popychałem ją przed sobą, szeptem nakazując milczenie. W budynku natknęliśmy się na kolejny typowy element środkowoamerykański, czyli, proszę państwa, sadystycznego oficera, w tym przypadku majora o nazwisku Pedroza, który zaszedłby wysoko w konkursie na sobotwóra generała Noriega: ospowata cera i coś lekko orientalne w rysach. Z tańczącymi w duszy wizjami szpicrut i pałek do baseballu popatrzył na nas marzycielsko, a jego oczy dłużej zatrzymały się na Sherril.

Może się wydawać, że jeśli chodzi o majora, wyciągam wnioski zbyt pochopnie, ale to tylko złudzenie. Doszedł do wysokiej szczytu w jednej z najbardziej niemoralnych i brutalnych armii świata, a trudno o takie osiągnięcie bez morza krzywd na sumieniu. Miał w twarzy tę okrutną świętoszkowatość człowieka, który zadawał tortury i czerpał z tego przyjemność. Podobnych ludzi charakteryzuje swoista flegma, ociężałość, rodzaj leniwego wdzięku przeżartego drapieżnika z dżungli, który zabija zbyt często i ze zbyt wielką łatwością. Nie popełni wobec nich pomyłki nikt, kto chociaż raz widział ich w działaniu. Ich występne skłonności są równie widoczne jak obwieszane baretkami i medalami piersi.

Pedroza zadał nam kilka pytań i gotował się już, jak sądzę, do obróbki fizycznej, gdy do pokoju wkroczył pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna, srebrnowłosy i nobliwy. Na jego widok doznałem ogromnej ulgi. Był to Duncan Shellgrave, wiceprezes banku rozwoju. Przyjaźniłem się z jego bratankiem, w którego domu w Ciudad Guatemala zatrzymywałem się kilka razy.

– Co tu się, u diabła, dzieje, Duncan? – zapytałem, mając nadzieję, że agresywność uwierzytelnia mnie choć trochę w sferze psychicznej.

– Tylko się nie denerwuj, Carl – odparł i po hiszpańsku powiedział majorowi, że się wszystkim zajmie.

Major westchnął z powątpiewaniem, powiedział:

– Jak pan sobie życzy – i Shellgrave przeprowadził nas do przyległego gabinetu – białego pokoju z matowym szkłem w oknach i klimatyzowanym chłodkiem.

– Mamy niewielki problem – powiedział Shellgrave, zaszczycając nas najlepszym ze swych „kredytu nie przyznano” uśmiezków i dając do zrozumienia, że powinniśmy zająć krzesła. – Obawiam się, że musicie tutaj przesiedzieć. W przeciwnym razie major Pedroza będzie nader poirytowany.

Były dwa składane krzesła; pozostawiłem je Sherril i DeVriesowi, a sam przysiadłem na skraju biurka.

– Co za problem? – zapytałem.

Kolejny uśmiech i ręce rozłożone w geście wyrażającym bezradność.

Powinienem opowiedzieć wam pewną historyjkę, aby zilustrować charakter Shellgrave'a. Tydzień po rewolucji nikaraguańskiej, którą obsługiwałem dla kilku lewicowych szmat, przejeżdżałem przez Ciudad Guatemala, gdzie napatoczyłem się na bratanka Shellgrave'a, a ów zaproponował kolację u stryjaszka. Sądził, że wysłuchanie głównotoku dotyczącego stanu spraw w Managui przyda mu się jak cholera. No więc poszliśmy do domu w typowo amerykańskim paranoicznym stylu – z psami obronnymi, jeżącym się od potłuczonego szkła wysokim murem i masą zabezpieczeń elektronicznych – a kiedy Shellgrave usłyszał, że jadę prosto z Managui, oznajmił:

– Dobry Boże! Masz szczęście, że żyjesz. Wyrzynają tam ludzi na ulicach.

Wiedziałem, że nic takiego absolutnie nie ma miejsca, lecz kiedy próbowałem Shellgrave'a o tym przekonać, przyoblekł twarz w łagodny uśmiech i stwierdził:

– Musiałeś nie zauważyć. Prawdopodobnie manipulowano tobą tak, żebyś nie trafił w gąszcz wydarzeń.

Upewniałem go, że włąziłem wszędzie; nie jestem frajerskim fanem sandinistów, lecz jak na rewolucję, ta wystartowała zupełnie czysto i nie działa się nic zrzeczy, jakie sugerował Shellgrave. Mimo to nie zdołałem go przekonać. Fakt, iż wróciłem właśnie z Managui, wydawał mu się zupełnie pozbawiony znaczenia. Swych informatorów z CIA darzył najwyższym zaufaniem, mnie – żadnym. Danie wiary temu, co mówiłem, nie odpowiadało przyjętym przezeń założeniom, więc jej nie dawał. Nie udawał głuchego ani idioty. Po prostu mi nie wierzył. Ludzie pokroju Shellgrave'a, a znajdziecie ich w całej Ameryce Łacińskiej, mają dar silnej wiary; wiedzą, że dysponują prawidłowym obrazem spraw ważnych, panoramą, a zatem wszelkie docierające do nich informacje, które obraz ten podważają, muszą być lewe. Rozkwitają na micie realpolitik, basują tym, którzy ich ściągnęli, no i mają czyste sumienie. To naprawdę przerażający ludzie. Może nie tak przerażający jak major Pedroza i plemię mu podobnych, lecz – wedle mojej opinii – jednym do drugich brakuje niewiele.

Wiedziałem, że nie ma sensu przyciskać go o szczegóły; gapiłem się na białe ściany, próbowałem rozweselić Sherril mrugając do niej i uśmiechając się.

DeVries zaczął indagować Shellgrave'a, ale mu powiedziałem:

– Nie trać czasu.

Za te słowa się na mnie spienił; odrzucił z czoła ten blond loczek, który doprowadza wszystkie dziewczyny z Uniwersytetu Świętego Karola do delirium i powiada:

– Może w tobie, człowieku, już wszystko się wypaliło, ale we mnie wciąż nie. Tu, kapujesz, coś cuchnie i to zupełnie mocno, kapujesz. Jakieś wielkie gówno. Nie czujesz?

– Ten facet – wskazałem Shellgrave'a – za to nie odpowiada. Dla niego niebiosa to pokój z widokiem na Wall Street. Nie wie, co to smród. Zeżarł tak wielu ludzi, że uważa to za normalne.

Shellgrave ani na chwilę nie przestał się uśmiechać; w gruncie rzeczy mógł być zadowolony z charakterystyki, jaką wygłosiłem.

– Popatrz – powiedziałem do DeVriesa. – Jest kurewsko piękny. Wie, że imperium się wali i że jego święty obowiązek polega na tym, aby tak długo, jak może, trzymać się ostatniego okrucha.

Ale DeVries, niech go Bóg ma w swojej opiece, był entuzjastą; przyciskał Shellgrave'a, choć bez sensownych rezultatów.

Strzelanina rozpoczęła się mniej więcej dziesięć minut od chwili, gdyśmy weszli do białego pokoju. Najpierw nad rozwibrowanym pomrukiem wentylatorów przypominało to odgłos



strzelających korków, potem zadudniło cięższe łomotanie M – sześćdziesiątek. Sherril poderwała się na nogi, a Shellgrave powiedział jej z uśmiechem, żeby się nie denerwowała, bo wszystko jest w porządku. Wierzył w to. Chciał, żebyśmy i my w to uwierzyli. Dla własnego dobra.

– Więc co to jest? – zapytałem. – Odgłosy Demokracji w Natarciu?

Ze zdumieniem pokręcił głową. Byłem niepoprawny i po prostu nie wiedział, co ze mną począć.

Wrzaski wybuchły jakieś trzy minuty po strzelaninie; Shellgrave zareagował na nie z równym spokojem. Wstał, spróbował wyjrzeć przez matowe szkło, a kiedy poniósł fiasko, ruszył ku drzwiom, ale zatrzymał się. Po chwili jednak podszedł do nich i je zarygłował.

– Nie przejmuj się – powiedziałem do niego. – Wszystko jest w porządku.

Sherril spytała:

– Co to jest? Co się dzieje?

Miała twarz barwy płótna i nerwowo zacierała dłonie, a i mnie zaczynało mrozić. DeVries również wyglądał na poruszonego.

– Taa, co się dzieje? – zapytał Shellgrave’a, który z uniesioną i przechyloną na bok głową stał na środku pokoju jak człowiek nasłuchujący dalekiego wołania.

Wrzaski były rozdzierające i straszne, wrzaski najczystszej udręki i przerażenia; albo zagłuszały znaczną część strzałów, albo też nie strzelało już tylu ludzi, co poprzednio. Potem ktoś krzyknął przy samym oknie, na co Shellgrave rzucił się do regału i otworzywszy go począł piętrzyć na biurku papiery. Podniosłem jeden arkusz i zanim wyrwał mi go z dłoni, dostrzegłem słowo „mutageny”.

Wciąż wierzyłem, że przeżyjemy, moja wiara jednak słabła i może z tej przyczyny postanowiłem skończyć z trwaniem w niewiedzy. Pchnąłem mocno Shellgrave’a, posyłając go na podłogę, i zacząłem kartkować akta. Znów mi spróbował przeszkodzić, więc kopnąłem go w brzuch.

DeVries i Sherril stanęli obok mnie. Nie bardzo mogłem coś z tych papierów wykombinować, ale, jak się zdawało, dotyczyły realizowanego od dwudziestu lat projektu, który miał jakiś związek z nowym rodzajem pokarmu i jego wpływem na tutejszą wioskę indiańską. Mieszkańcy – okrutnie niedożywieni – prawdopodobnie oburącz uchwycili się możliwości jedzenia tego gówna.

– Jezu Chryste! – powiedziała Sherril, gapiąc się na jeden z dokumentów.

– Co to jest? – zapytałem.

– Poczekaj! – Zaczęła wertować następne papiery.

Shellgrave jęknął, powiedział:

– To ściśle tajne. – Tym, który teraz mu dokopał, był DeVries.

Nastąpił nagły wzrost natężenia ognia, jak gdyby fala bitwy napłynęła z powrotem.

– Boże – powiedziała Sherril słabo i osunęła się na krzesło Shellgrave’a.

– Powiedz nam wreszcie, do cholery! – zażądał DeVries.

– Sądzę – zaczęła i zająknęła się; dla uspokojenia zaczerpnęła powietrza. – Nie wierzę w to.

– Patrzyła na nas pustym wzrokiem. – Mutanci. Ten pokarm spowodował okropne zmiany w drugim pokoleniu. Degenerację tkanki mózgowej. Dzieci tych, którzy zaczęli jeść pokarm, są idiotami. Są tu rzeczy dla mnie niezrozumiałe. Ale nastąpiły także zmiany w skórze i krwi. I myślę... myślę, że stali się istotami nocnymi. Ich oczy... – Z trudem przełknęła ślinę. – A teraz ich zabijają. Przestali dawać pokarm, a oni mogą się żywić tylko rośliną, jaką się tu uprawia.

Przyklęknąłem obok Shellgrave’a.

– I teraz ci nieszczęśnicy próbują ci się dobrać do dupska. To oni są na zewnątrz, nie?

Miał kłopoty z oddychaniem, ale zdobył się na skiniecie. Wskazał papiery.

– Spalcie je – wysapał.

– Mhm – odparłem. – Jasna sprawa.

Uderzyła mnie nagle metaforyczność faktu, że jesteśmy oto w tym chłodnym, białym pokoju, odizolowani od wrzasków, strzałów i potwornego umierania, jakie działo się teraz w wilgotnym gorącym dżungli. To było bardzo Amerykańsko – Kontemplacyjne, to była klasyczna amerykańska sytuacja. Wszystkie moje lata zbierania opowieści grozy – opowieści, w których nie było nic z niesamowitego technologicznego horroru rozgrywającego się obecnie, choć przecież wyrosły z występków równie diabolicznych – opowieści kończących swój los w koszu na śmieci redaktora w jakimś mieście... przypuszczam, że wszystkie te lata pozwoliły mi wówczas zrekapitulować własną egzystencję. Był to, rozumiecie, moment dla mnie szczególnie znaczący. Uświadomiłem sobie, że okropność dziejąca się teraz na zewnątrz współgra z wszystkimi innymi okropnościami, jakich byłem świadkiem. Jestem pewien, że czytając tę relację jako fikcję literacką – a jest to jedyny sposób, w jaki ją mogę opublikować – ten i ów stwierdzi, że doklejając do niej elementy science fiction trywializuję prawdziwą rzeczywistość środkowoamerykańską. Tak jednak nie jest. To, co się działo, nie różniło się niczym od tysiąca innych wydarzeń zaistniałych w przeciągu minionych, powiedzmy, stu pięćdziesięciu lat. Nie był to wyjątek, lecz r e g u ł a. I przez brak kontrastu wobec innych okropieństw unaoczniał odrażający charakter tej reguły. Wysokoci United Fruit, szatański sadyzm ludzi takich, jak Torrijos, Somoza, D’aubisson i tysiące mniej wsławionych kreatur, jatki, inwazje, groby masowe, wysypiska śmieci z wypiętrzonymi stosami smażących się ciał, kanibalizm, gwałty i tortury na ogólnonarodową skalę, a wszystko to skrzętnie udokumentowane i skrzętnie ignorowane... to, co działo się teraz, było tylko częścią większej całości, maleńkim adagio w symfonii cierpień, podtrzymywaniem zrakowaciałej tradycji.

Pojmowałem, że ktokolwiek z tej bitwy wyjdzie zwycięsko, nie okaże żurnalistom wielkiej wyrozumiałości. Jeszcze większy refleks okazał w tej kwestii DeVries. Wygrzebał pistolet

z papierowego uroczyska na biurku Shellgrave'a, ujął składane krzesło, polecił nam zmykać ku drzewom, a potem cisnął krzesłem w okno i usunął pozostałe we framudze ułamki matowego szkła. Wykaraskałem się na zewnątrz, pomogłem wyleźć Sherril i DeVriesowi, który ścisnął w dłoni plik dotyczących sprawy dokumentów. Po chłodzie pokoju omal nie zakrztusiłem się cuchnącym upałem. Zerknąwszy na pole poza budynkiem zarządu dostrzegłem tuziny, nie, setki ciemnych, dziwnie poskręcanych nagich postaci uwijających się pośród agawy; część z nich klęcząc obrywała liście, wszędzie też wałały się ciała, z których wiele wyglądało w blasku reflektorów na zakrwawione. To jakby zdjęcie z polaroidu, które, w ciągu jakiejś sekundy wywołane w twojej duszy, zamieszka w niej na zawsze, ostre w swej średniowiecznej niesamowitości i brutalnym szczególe. Od drzew dzieliło nas może pięćdziesiąt metrów i sądziłem, że przebedziemy je bez przeszkód, skoro wrzaski i strzelanina dochodziły z frontu budynku. Lecz z tyłu doleciał mnie rozpaczliwy okrzyk i dojrzałem, że wydobywającego się z okna Shellgrave'a ściąga w dół grupa poskręcanych postaci. Shellgrave miał okrwawioną twarz. W następnej chwili inne ciemne sylwetki znalazły się obok mnie.

Ponieważ reflektory były nakierowane na plantację i wokół nas panował mrok, nawet nie zdołałem przyjrzeć się napastnikom. Odniosłem tylko wrażenie, że ich twarze pokrywa coś, co przypomina twardą, porowatą korę, że mają wąziutkie oczy i usta, a zamiast nosa zaledwie dziurki. Nawet jak na Indian byli drobnymi, skarłowaciałymi i z pewnością niezbyt silnymi, bo choć ze mnie samego nie krepus, to bez trudu odrzuciłem ich na boki. Było ich jednak wielu i mam pewność, że zginęlibyśmy, gdyby nie DeVries. Zaczął strzelać z pistoletu Shellgrave'a, oni zaś – jak gdyby śmierć stanowiła dla nich wielką pokusę – przestali obłąpać mnie i Sherril, dobierając się do DeVriesa. Chwyciłem Sherril za ramię i pogałem ku dżungli. Pograżyliśmy się w gęstwinię jakieś sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt metrów, kiedy usłyszałem skowyt DeVriesa.

Przyjaźniłem się z nim od – jak mówiłem – czterech lat, ale nasza przyjaźń poszła w diabły, ustępując miejsca panice, i biegłem dalej z Sherril na holu, wpadałem w skaliste parowy, wspinałem na wzniesienia i potykając się, padając, ryczałem ze strachu, ilekroć wydało mi się, że dostrzegam jakiś ruch. Musieliśmy umykać pięć, a może sześć minut, gdy po spektakularnym upadku i stoczeniu się ze wzgórza do połowy zbocza przez paprocie i przegniłą ściółkę, odkryłem wlot jaskini.

Wapienne fundamenty dżungli Peten są wręcz podziurkowane pieczarami, nie było to więc zdarzenie cudowne; wyzbyty tchu i śmiertelnie zmęczony postrzegałem je wszakże dokładnie jako takie. Otwór, w którym na koniec zjazdu ze zbocza zwisły moje nogi, był wąski najwyżej kilkudziesięciocentymetrowej szerokości i zacopowany pnączami, ale wyczuwałem za nim wielką pustą przestrzeń. Oczyszciliśmy wlot z pnączy, ująłem Sherril za rękę i wprowadziłem ją do środka. Chłodny zapach stęchlizny, skapująca gdzieś w pobliżu woda. Uniosłem zapalniczkę jak pochodnię, oświetlając fragment dużej sklepionej galerii o białych, i wyjąwszy rzucone tu

i ówdzie wapienne woluty, gładkich ścianach; przy jednej z nich spod brezentu wystawał narożnik skrzyni. Zgasilem zapalniczkę, a kiedy po omacku dotarłem na miejsce, zapaliłem ją znowu i zbadałem skrzynie – było ich cztery: wszystkie miały oznaczenia kodowe i napisy US AIR FORCE. Czuło się wyraźny odór smaru.

– Co to jest? – zapytała Sherril.

– Zajeżdża to bronią – odparłem. – Automaty, mam nadzieję.

Dobrałem się do jednej ze skrzyń i zacząłem podważać deski, ale bez większych sukcesów. Wówczas gdzieś sprzed jaskini usłyszałem hałas – przez krzaki przedzierało się coś ciężkiego. W pobliżu wlotu spoczywał wielki głaz i z nadzieją, że zdołamy zablokować nim wejście, pośpieszyliśmy przez jaskinię, zanim jednak dotarliśmy na miejsce, to coś zaczynało już wchodzić do środka, przesłaniając sobą wątłą poświatę księżyca. Przywarliśmy do ściany obok wlotu. Do jaskini wkroczył cień – zbyt wielki, aby mógł być jednym z Indian – a z jego dłoni wystrzelił snop światła. Dostrzegłem panterkę i pistolet w kaburze, a wiedząc, że jedyna nasza szansa leży w ataku, skoczyłem na przybysza, powalając go na wznak. Sherril poszła w moje ślady, i wbiła palce w jego twarz. Mężczyzna zaklął po hiszpańsku i próbował mnie zrzucić, co pewnie by mu się udało, gdyby nie przeszkadzała mu Sherril. Zdołałem uchwycić go za włosy; walnąłem jego głowę w skałę i po trzecim uderzeniu zwiotczał. Zsunąłem się z niego, łapiąc powietrze. Sherril podniosła latarkę i oświetliła sflaczałą ospowatą twarz. To był major Pedroza. Rzecz zaczynała trzymać się kupy – major prawdopodobnie ciułał broń dla własnego małego zamazku lub też czerpał ładny zysk, sprzedając go kontrasom czy jakiejś innej grupie męskich bojowników o wolność.

Jeśli dotychczas nie miałem czasu przetrwać śmierci DeVriesa i całej afery z fermą eksperymentalną, to w tej chwili odczułem ją jak uderzenie, ją i wszystkie inne, jakie oglądałem przez lata, wszystkie bez najmniejszych efektów relacjonowane ponure historie. Chyba także Sherril kierowały podobne motywy, gniew zrodzony z rozczarowania. Miała takie same jak ja kiedyś skłonności do współczucia, prawdy, nadziei – i w ciągu jednej jedynej nocy to wszystko zostało zniszczone.

Posługując się nożem odebrany Pedrozie wyciąłem pnąca u wlotu jaskini i zabraliśmy się do krępowania majora. Czułem się tak wyprany z emocji, jakbym pakował kawał mięsa. Przewróciłem go na brzuch i związałem mu ręce na plecach; potem skrępołem nogi, łącząc je z pętlą zaciśniętą mocno na szyi. Jeśli zacznie się szarpać, najwyżej się udusi. Byłem pewien jednego – cokolwiek stanie się ze mną i z Sherril, Pedroza umrze. Zapewne niektórzy mogą się w tym dopatrzeć nieuczciwości. Przecież nie wiem, kim tak naprawdę jest. Istotnie, mnie osobiście nie zrobił nic. Lecz jak szczegółowo dowiodłem wyżej, nie mógł być niewiniątkiem. W gruncie rzeczy powinienem gotować się teraz do wykończenia Shellgrave'a, prawdziwego czarnego charakteru dramatu, a przynajmniej symbolu prawdziwego łotrostwa. Pedrozowie nie

mogliby zaistnieć bez Shellgrave'ów. Lecz major także usatysfakcjonuje. Porwałem koszulę, żeby zrobić knebel, który wetknąłem mu w usta i zabezpieczyłem paskiem. Uporawszy się z tą robotą, przepchnęliśmy z Sherril głaz, żeby zablokować wejście, a potem siedząc czekaliśmy na rozwój wydarzeń.

Żadne z nas nie mówiło wiele. Myślałem o porzuceniu DeVriesa i nawet świadomość, że nic nie mogłem pomóc, stanowiła niewielką pociechę. Widziałem go oczyma wyobraźni, jak strzela z pistoletu Shellgrave'a, dostrzegłem kosmyk jasnych włosów i bladą, ściągniętą twarz. Potem widziałem, jak opada go tłum Indian, a wreszcie usłyszałem jego krzyk. Powiniennem być przyzwyczajony do gwałtownej śmierci, ponieważ tyle razy w przeszłości miałem z nią do czynienia, ale z tą nie mogłem się łatwo pogodzić. Może byłem z DeVriesem bliżej niż mi się zdawało, a może jego śmierć połączyła się z koszmarem sytuacji.

Nie miałem pewności, co gra w duszy Sherril, lecz czułem, że nurty naszego myślenia biegną jakoś równolegle. Zaczęła drżeć – w jaskini panowała wilgoć – więc otoczyłem ją ramieniem i przyciągnąłem do siebie. Zapytałem, czy już jej lepiej, a ona odparła „Tak” i przywarła do mnie mocniej. Jej czysty dziewczęcy zapach osłabił mnie i wprowadził w rozmarzenie. Niebawem ją pocałowałem. Zrazu odsunęła się i powiedziała:

– Nie rób tego... nie teraz.

– Dobra – odparłem spokojnie; w duszy byłem gotów posłuchać, ale wciąż trzymałem dłoń na jej piersi.

– Co robisz? – zapytała.

– Nie wiem, po prostu musiałem cię dotknąć.

Zabrałem rękę, ale po chwili przyciągnęła ją na nowo i przycisnęła do piersi. Westchnęła z rozpaczą.

– Też chyba tego potrzebuję – powiedziała. – Czy to nie dziwne?

– Co masz na myśli?

– Chcieć tego teraz. Czy to nie... – zachichotała trwożnie – ...występne albo co. – Znów chichot. – Występne.

Wymawiała to słowo, jak gdyby nabrało całkowicie nowego znaczenia, znaczenia, które dopiero teraz zdolna jest pojąć.

Nie umiałem jej odpowiedzieć. Znów ją pocałowałem i tym razem oddała pocałunek; niedługo potem, rozłożywszy na skale nasze ubrania zamiast materaca, zaczęliśmy się kochać. To była jedyna nadzieja, jedyna rzecz, jaka mogła nas ocalić od wypełniających tłumnie nasze głowy ślepych cieni i krwawych okrzyków – i w rezultacie kochaliśmy się brutalnie, dając tym aktem raczej upust złości aniżeli miłosierdziu. Było w tym również wzajemne zauroczenie, które mieliśmy jako kapitał wyjściowy, coś, co mogło się zdrowo rozwinąć, lecz teraz – jak myślałem – krzepione strawą tej groteskowej nocy, zakwitnie poskręcane, mroczne i pozbawione

przyszłości. Ale jednocześnie wykorzystując zauroczenie miałem zarazem uczucie, że sposób, w jaki oddaję mu się we władanie, uniemożliwi mi odwrót.

Indianie odnaleźli nas zapewne wówczas, gdyśmy się kochali, bo usłyszałem ich głosy, gdy wychyłem z żaru i chaosu, w jakim pograżyły się nasze ciała: głosy, osobliwe śpiewne szepty, dobiegały nie z wlotu jaskini, lecz gdzieś z góry, co uświadomiło mi, że do naszej kryjówki musi prowadzić drugie wejście. Wcisnęliśmy się w ciuchy, a ja, z pomocą noża Pedrozy, zacząłem włamywać się do skrzyń. Miałem jego pistolet, powątpiewałem jednak, czy to wystarczająca artyleria. Pierwsza skrzynia zawierała rakiety przeciwpiechotne; nie miałem pojęcia, jak się ich używa. W drugiej jednak znalazłem M-szesnastki i pełne magazynki. Wcisnąłem więc magazynek do jednego automatu i przygotowałem się do walki. Byłem zaskoczony, że nas dotąd nie zaatakowali, a gdy po kilku minutach nadal nie uczynili żadnego ruchu, oświetliłem sklepienie latarką Pedrozy.

Zanim odsunęli się od wlotu zlokalizowanego w połowie wysokości sklepienia, dostrzegłem żółte, rozjarzone źrenice ich oczu; widok był tak niepokojący, że omal nie upuściłem latarki. Przekazałem ją Sherril i posłałem krótką serię w otwór; choć był niewielki i stanowił zaledwie szczelinę, mógł okazać się dostatecznie duży dla tych poskręcanych ciał. Znajdował się na wysokości kilkunastu metrów.

– Te papiery... – zapytałem Sherril. – Było tam coś o tym, czy mogą skakać z dużych wysokości?

Zamyśliła się.

– Widziałam coś o niskiej zawartości wapnia. Ich kości są prawdopodobnie dość kruche.

– Może przyjdzie im do głowy, żeby spuszczać się na linach.

– Może, ale wedle dokumentów to są... to zwierzęta. Iloraz inteligencji po niżej skali.

Usłyszałem zduszony odgłos i poleciłem Sherril skierować światło latarki na Pedrozę; miał wytrzeszczone oczy i przekrwioną twarz.

– Uwważ – poradziłem mu po hiszpańsku. – Zrobisz sobie kuku.

Jego oczy były jeszcze bardziej wściekłe niż oczy Indian.

– Sądzę, że nic się nam nie stanie – powiedziała Sherril. – Jeśli powstrzymamy ich do świtu, nic się nam nie stanie.

– Bo wiodą nocny tryb życia?

– Mhm. Nie znoszą silnego światła. Może pod osłoną listowia zdołają wysiedzieć do rana, ale w południe będą straszliwie cierpieć. – Latarka w jej dłoni zadrżała. – Zagrzebują się.

– Co? – zapytałem.

– Poruszają się nocą, a kiedy nadchodzi dzień, zagrzebują się w ziemi, gdziekolwiek są i śpią... jak wampiry. Uśpieni, prawie nie oddychają.

– Chryste – powiedziałem, niezdolny strawić to, niezdolny poczuć odrazę jeszcze większą od

tej, która już we mnie była.

Zerknąłem na Pedrozę; był odpowiedzialny za wiele rzeczy.

Sherril też na niego patrzyła i ze wzgardy, jaka odbijała się w jej twarzy pojąłem, że nawet gdyby mnie tu nie było, Pedrozę czekałyby paskudne przeżycia.

Usiedliśmy przy głazie, podpierając go plecami na wypadek, gdyby Indianie spróbowali się wdrzeć; oświetlaliśmy górny wlot i rozmawialiśmy, żeby zagłuszyć nieustającą i rozstrajającą muzykę ich głosów, która w niczym nie przypominała mowy, lecz była ledwie poszumem, wędrującą po jaskini melodią bezlitosnego szaleństwa. Opowiadałem Sherril historie, nie takie jednak, jakie byłbym opowiadał w innych okolicznościach. Były to historie o wspaniałych, męźnych uczynkach, jakich byłem świadkiem, historie, w których wciąż żyła nadzieja, historie dające sztuce opowiadania historii dobre imię, nie zaś moje zwykłe, przepojone niesmakiem opowiadki o Szatańskich Biznesmenach i ich ogólnościowych szwindlach. Te historie stanowiły najlepszą część mojego żywota i nie w tym rzecz, iż bałem się śmierci, bo sądziłem, że jednak z tego wyjdziemy; chodziło o to, że ostatnie z mych głupich ideałów oddawały ducha i wypowiadały przedśmiertne słowo. Jakkolwiek przekonywałem sam siebie, że już dawno wyrzekłem się ideałów, to jestem pewien, że dopiero wtedy ostatecznie skapitulowałem przed złem tego świata.

Tak samo było z Sherril. Rozprawiała o pielęgniarstwie, jaki to ważny zawód, mówiła o domu i starych przyjaciółach, ale wciąż gubiła wątek. Musiałem korygować ją pytaniami, jak gdyby jej stacja uciekała ze skali. Obserwowałem jej twarz. Była bardziej niż ładna. Tak cholernie ładna, że nie wierzyłem, jakim jestem szczęściarzem mogąc się z nią pokochać – idiotyczne rozważania. Miała zielone oczy z brązowymi plamkami na tęczęwkach i jedwabiste włosy, ale najbardziej mi się w niej podobało, że wiedziała to samo co ja. Zmieniała się na mych oczach, twardniała, dowiadywała rzeczy, jakich nie powinna była dowiedzieć się nigdy. Cholerna hańba, że ta dobra dziewczyna musiała tak młodo zrozumieć, iż dobroć można sobie potłuc o kant dupy. Słuchając jej wywodów słyszałem jednocześnie obłąkany zaśpiew plemienia, które nas chciało zabić, i stęknienia Pedrozy pragnącego zwrócić na siebie uwagę. Nie miało to żadnego znaczenia. W jakimś sensie byłem niemal szczęśliwy stawiając temu wszystkiemu czoło, wiedząc, jak kiepsko się to może skończyć, a przecież wciąż potrafiłem patrzeć na ładną kobietę i żywić jakąś nadzieję. Wiedziałem, że i to może mi być odebrane, ale przestałem się bać. I też się uczyłem. Jakkolwiek wówczas tego nie dostrzegłem, uczyłem się, że można pokochać przez nienawiść, przez fakt, że jest się z kimś w tyglu chwil, gdy wszystko inne umiera i jedyne, co człowiekowi zostaje, to próbować przeżyć. A może to nie była miłość, może to był coś, co zastępuje miłość tym, kórzy skapitulowali.

Przed samym świtem Indianie zaczęli spadać ze szczeliny. W sumie skoczyło jakichś dwudziestu, lecz lądowanie przeżyła najwyżej jedna trzecia – niezdolna zresztą do ruchu

z powodu potrzaskanych kości. Pierwszy skoczek mnie spłoszył, a z ust Sherril wyrwał się wrzask. Później jednak nie było to nawet dramatyczne, co najwyżej żałosne. Ranni pełzli ku nam: rozwarłe szczeliny ich ust ukazywały krwistoczerwone języki, a osobliwie niedokończone twarze miały wyraz, który wydał mi się parodią desperacji. Wykańczałem ich salwami z M-16. Nie wiem, dlaczego podejmowali kolejne próby, ani czemu w pewnej chwili przestali napływać jak lemingi. Może tak skoki, jak zaniechanie stanowiły etap ich własnej drogi ku kapitulacji. Zyskawszy pewność, że następni już nie nadejdą, poodciągałem zwłoki w głąb jaskini, poza pole widzenia, za występ; starałem się nie patrzeć na trupy, ale mimo to dostrzegłem kilka szczegółów. Szczątkowe genitalia; lekko błękitne zabarwienie skóry, jak gdyby cierpieli na sinicę; plecy wygięte w kabłąk, gruzłowate łopatki. Były to zwłoki lekkie jak wysuszone trupki dzieci.

Tego dnia słońce weszło kwadrans po piątej i wypełniło mglistą czerwoną poświatą szczelinę w kopule – wąskie złowieszcze oko – lecz głosy śpiewały jeszcze jakiś czas potem. Pedroza błagał nas spojrzeniem; złał się w spodnie, biedaczysko. Obserwowaliśmy, jak wierci się i mruczy; urządziliśmy konkurs, kto wydobędzie zeń najbardziej interesujący odgłos, biorąc – na przykład – nóż i zachodząc go od tyłu.

Na koniec daliśmy mu spokój i rozmawialiśmy, snując plany, co zrobimy po opuszczeniu jaskini: omijając Sayaxche ruszymy wprost do Flores, może autostopem na wracającej z dżungli cysternie.

Sherril popatrzyła na mnie i zapytała:

– Co zamierzasz robić później?

– Nie zostanę w tych stronach. Stany... może wrócę do Stanów. A ty? Nikaragua?

Pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia. Może dom.

– Calgary?

– Mhm.

– Jak tam jest?

Otwarła usta, zamknęła je, a potem się roześmiała.

– Nie wiem. – I po pauzie: – Góry Skaliste, są w pobliżu.

Pomyślałem o Skalistych, o ich czystej, chłodnej prawości, ich sosnowej ciszy, tak odmiennej od malarycznego zgiełku, w którym podróżowałem przez te wszystkie lata. Wypowiedziałem ich nazwę na głos, a Sherril spojrzała na mnie pytająco.

– Tylko sprawdzałem, czy to dobrze brzmi – wyjaśniłem.

Dopiero blisko południa uznaliśmy, że opuszczenie jaskini nie jest niebezpieczne. Podszedłem do Pedrozy i wyjąłem mu knebel z ust. Aby przemówić, musiał oblizać wargi i przez kilka chwil poruszać szczękami. Potem powiedział:



– Proszę... ja... proszę.

– Proszę o co? – zapytałem.

Jego oczy strzeliły ku Sherril, potem ku mnie.

– Nie zabijaj mnie – powiedział. – Mam pieniądze, mogę ci pomóc.

– Wcale nie zamierzam cię zabijać – odparłem. – Zamierzam zostawić cię tu skrupowanego.

Był to test na jego reakcję, sprawdzenie, czy ma jeszcze jakichś pozostałych przy życiu sprzymierzeńców; gdyby oblał, zamierzałem go zastrzelić. Jego strach nie był udawany, ogarnęło go prawdziwe przerażenie. Mamrotał, obiecując niebo i ziemię, przysięgał nam dopomóc. Tak go nienawidziłem, nawet nie potrafię wyrazić, jak bardzo. Na nim skupiła się cała moja nienawiść.

– Mógłbym cię zastrzelić – powiedziałem. – Ale sądzę, że cię tu po prostu zostawię. Oczywiście, masz wybór. Jeśli szarpniesz nogami naprawdę mocno, prawdopodobnie zdołasz się zabić.

– Posłuchaj – zaczął.

Rąbnąłem go w szczękę kolbą automatu; cios wykręcił mu głowę tak, że z trudem uchronił się przed zaciśnięciem pętli. Przemawiałem dalej, oświadczyłem, że jeśli wyzna swe grzechy, może dam mu szansę. Byłem bardzo przekonujący. Zrazu miał opory, ale potem wylał z siebie wszystkie występki: gwałty, masakry, tortury, dokładnie to, czego się spodziewałem. Po spowiedzi wydawał się pusty, wyprany z mocy, jak gdyby krzepiła go dotąd tylko skrywana wiedza o własnych zbrodniach.

– Sto zdrowasiek – zaordynowałem, czyniąc w powietrzu znak krzyża. – Jezus ci przebaczy.

Zaczął coś mówić, ale znów wetknąłem mu w usta knebel.

Sherril patrzyła na niego zimnym i bezlitosnym wzrokiem.

Pocałowałem ją z zamiarem pocieszenia, podniesienia na duchu, ale zerknąwszy na Pedrozę doszedłem do wniosku, że ten pocałunek go zranił. Znów ją pocałowałem, doknąłem jej piersi. Mocno zacisnęła oczy, a potem otworzył je bardzo szeroko; szarpnął się lekko. Sherril wiedziała, do czego zmierzam, i aż się paliła; jej antypatia do majora była równie silna jak moja. Rozścieliliśmy ubrania na skale i kochaliśmy się po raz drugi, ukazując Pedrozie, jak rozkoszne może być życie, pozwalając mu pojąć cały tragizm jego losu – i znów wydawało się, że to jedyna rzecz, jaką możemy zrobić. Nic dla nas nie znaczył, był abstraktem, celem tak bezwartościowo neutralnym jak prezydent.

Przypadkowo kochaliśmy się pod szczeliną w wapiennej skale i skośny snop przykurzonego słonecznego blasku – jakie widuje się strzelające z wysokich okien katedry – padł na Sherril, malując osobliwie złocistą maskę na jej oczach i nosie, która uczyniła z jej twarzy świetlistą tajemnicę. A to, cośmy robili, wydawało się tajemnicze i natchnione. Nie było to przedstawienie, lecz rytuał, jakiś rodzaj nienawistnych zabiegów kultowych. Zachowywaliśmy się bardzo cicho, a pod koniec nawet stłumiliśmy okrzyki – i ta cisza wzmacniała naszą przyjemność. Po

wszystkim, choć dobiegał mnie bulgocący odgłos oddechu Pedrozy, było tak, jakbyśmy znaleźli się sam na sam z naszym bogiem w uświęconej kaplicy ciszy o ścianach białych i chłodnych jak wewnątrz czaszki, której jesteśmy bezcielesnymi myślami. Miałem w sobie bezgraniczną czułość. Skąpany w owej złocistej smudze, olśniony, błogosławiony w naszym zamierzeniu, pieściłem ją, całowałem, przyjmowałem jej pocałunki i pieszczoty. Myślę, że byliśmy w tej chwili szaleni, ale szaleństwem świętych.

Uśmiechnięci do siebie, ubraliśmy się nie zwracając uwagi na Pedrozę, który przyciągnął nasze spojrzenia dopiero wtedy, gdy zaczęliśmy usuwać głaz z wejścia do jaskini. Pedroza wciąż błagał nas oczami, wił się ku nam, skamlał, wydawał zdławione, bełkotliwe odgłosy. Nie budził mego współczucia. Zasłużył na wszystko, co mu szykował los. Próbował kiwać głową i mierząc spojrzeniem w moją broń błagał, bym go zabił.

– Adios – powiedziałem; to słowo, które znaczy „z Bogiem”, jest w naszych bezbożnych czasach ironicznym zwrotem językowym.

Zablokowaliśmy głazem wejście do jaskini.

Po kilku krokach stanęliśmy jak wryci na widok tego, co ukazało się naszym oczom. Całe zbocze przyległego wzgórza pokrywały mierzące po jakieś półtora metra długości kopczyki z czarnoziemem. Pomiędzy paprociami, pod spróchniałymi kłodami i krzakami były ich setki. Jak przyczółki migrujących mrówek, które widywałem w Ameryce Południowej. Był to koszmarny widok i na myśl o tych drobnych zdeformowanych ciałach spoczywających sztywno pod przykryciem z ziemi, poczułem mdłości i zawroty głowy. Chyba powinienem był okazać miłosierdzie i zastrzelić je w ich legowiskach. Skrzynie w jaskini zawierały wystarczającą dawkę śmierci. Lecz ktoś mógł usłyszeć strzały, no a i ja sam wyrosłem już z pojęć miłosierdzia i pomocy humanitarnej. Wpadłem z tej gry. Nie byłem z tego dumny, ale przynajmniej próbowałem, spędziłem na próbach całe lata, gdy większość ludzi poddaje się z góry. Mogłem tylko odejść. Oddaliliśmy się więc od jaskini, Sayaxche, Gwatemali, tych żalonych, małych istot ze szczelinami oczu i ułomnymi mózgami w ich śnie z ziemi i kosmaru, od majora Pedrozy w ostatecznym białym kościele jego przerażenia, od całego cholernego świata. A skoro nie było już żadnego miejsca, gdzie pragnęlibyśmy się udać, poszliśmy tam razem.

Czasem patrzę na Sherril, a ona spogląda na mnie i zastanawiamy się oboje, dlaczego wciąż ze sobą jesteśmy. Nadal się kochamy, ale nie wydaje się sensowna sytuacja, gdy miłości udaje się przetrwać akt kapitulacji tak bezwarunkowej jak nasza, więc nieustannie oczekujemy, aż ujawni się jakaś złowroga mutacja, twór owej nocy w dżungli za Sayaxche. Chyba dlatego nie mamy dzieci. Jednak zanadto się nad tym nie zastanawiamy. Życie jest słodkie. Mamy forszę, żarcie, przyszłość, chatę w Skalistych nie opodal Calgary, pracę, na której nam zależy – choć może nie wykonujemy jej z taką samą pasją jak kiedyś. Wspaniale jest kochać się, spacerować, wdychać wiatr i obserwować słońce na sosnach. Nie jesteśmy tak naprawdę szczęśliwi, za dużo się nam

przydarzyło, abyśmy mogli kupić ten kit; ale też żadnemu z nas szczęście nie jest specjalnie potrzebne. Być szczęśliwym to zbyt ambitne zadanie, kiedy świat schodzi na psy, kiedy główniany potop gotów jest trysnąć z zadka natury i zaskoczyć nas prawdziwie katastrofalną plagą promieniowania kosmicznego z piekła, no i te znaki na niebie, że czas pojednać się z Bogiem albo może wykonać parę posunięć, żeby coś zmienić, a tymczasem wciąż się słyszy wiecznie to samo łagodne, wszechobecne pieprzenie o wzmocnieniu ekonomii czy może podrzuceniu paru dolców ekstremistom, którzy chcieliby mieć nadające się do oddychania powietrze, nie dopuścić do stopienia czap lodowych i woleliby nie zniechęcać do siebie reszty ludzkości popieraniem każdego sadystycznego nowotwora w mundurze, który postanawia zostać Bogiem Mangolandii i zaopatrywać w kokainę Południowy Bronx w zamian za to, że powie „Nie” Czerwonemu Zagrożeniu. Ameryka Środkowa nie jest po prostu Ameryką Środkową. Jest tym, co się właśnie dzieje, co wkroczy niebawem na wasze podwórko, a jeśli sądzicie, że przesadzam, jeśli nie dostrzegacie oznak, jeśli nie zwracaliście uwagi na nieubłaganą transformację Krainy Wolności w kolejny slums... cóż, jak sobie chcecie. Więc zrzućcie buty, walnijcie zimne piwo, może złapcie w ABC ten reportaż o Głodującym, zafundujecie sobie wilgotne oczy, dzięki czemu kiedy przyjdzie czas na Poniedziałkowy Wieczór Futbolu czy „Policjantów z Miami”, doświadczycie większego ciepła, jakbyście prawie coś czując pospłacali swoje długi.

I nie przejmujcie się, wszystko jest w porządku.

Obiecuję nigdy już o tym nie wspominać.

Adios.